

BALAMUT.

Korrespondencya.

JARMARKI BERDYCZOWSKIE, KONTRAKTY KIEWSKIE, WYBORY.

Kto na tych trzech zebraniach nie był, nie zna jeszcze ludzi, a przynajmniej z wielką mu pracą, ze skupienia drobiazgowych, szczególnych uwag ta znajomość przyszła. Tu zaś, bez wielkiej pracy, znajomość tę osiąść może. Tu ma przed oczami serca i dusze wszystkich prawie ludzi, zebrane niejako w jedno duże serce, w jedną dużą duszę, i na jaw wystawione ze wszystkimi swemi skrytościami i komórkami na dnie tego serca i tej duszy będącemi.

Człowiek w wielkich wydarzeniach ostrożnie i z wielką przebiegłością działa. Trudniej go tam odkryć. W małych, jak dziecko, cały na jawie stoi. To też, bezwątpienia, na naszych jarmarkach, Kontraktach i Wyborach można lepiej ludzi poznać jak na posiedzeniach obu izb angielskiego parlamentu. W tych ostatnich bowiem interessa jednego lub wielu krajów ważnością swoją tak przygłuszają małe interesa osobiste, że na nie oko głębokiego postrzegacza przez krepę niejako się patrzy; a często choć i wydobędzie na wierzech skrytości serca co oblekło się w suknie poświęcenia się publicznego, trudno mu odkrycia swe światu ogłosić, bo święta szata, którą jest odziane, broni je i, przez odbicie, może w oczach głupiego tłumy, lub sumiennego mędrca potępić. Tu zaś, światły postrzegacz niema do walczenia z bożkiem poświęcenia się dobru publicznemu, którym się tylokroć zastawiają najbardziej egoizmem przejęte serca. Tu interess osobisty stoi nagi, szatą żadnych cnót nieprzybrany. Tu wiele dusz, skutych jakoby w jedną duszę, stoi jak bezbronne ciało, podające się niejako samo pod badawczy nóż anatomizatora. — Korzystając z wolnego pastwiska, urwałem zeń kilka trawek, które Balamutowi w holdzie noszę.

Wychowany w mieście, przyzwyczajony do miejskiej polerowności i wrzawy, gdym osiadł na wsi, w kilka miesięcy zachciało mi się przerwać moją ciągłą samotność. W tak dobrém usposobieniu, dowiaduję się o jarmarku Berdyczowskim, na Onufreja. Mówią mi iż widzieć tam mogę rzeczy niewidziane i znaleźć towarzystwo najdobrańsze mężczyzn. Zachęcony tém ruszam, przyjeżdżam, wchodzę na ulicę, i, w rzeczy samej, widzę niewidziane dla mnie dotychczas ubiory, jakbym się nagłe przeniósł na jakiś bazar aziatycki. Różni moi znajomi witają mię; nie poznaję ich: wszyscy w szlafrokach lub skórach, wśród dnia, po mieście się przechadzają, z mnóstwem kutasów od stóp do głowy, w czapczkach wszystkich tęczyowych kolorów, z batożkami w ręku. Nie mogłem się zrazu wydziwić iżby ludzie których niegdyś widziałem przywoicie odzianych, grzecznych i uprzejmych w salonach, mogli się nagle tak z metamorfozować. Wytłumaczono mi wszakże iż to jest zwyczajem jarmarków. Obywatel bowiem Wołyński, Podolski lub Ukraiński, jak Kamelcon, zmienia swoją szerść kilka razy do roku. Jadąc w gościnę, ubiera się po francusku; na jarmarki po aziatycku; na wybory wdziéwa mundur obywatelski; nakoniec w ubiorze który nosi u siebie, w domu, dziwną zachowuje mieszaninę aziatyckiego z europejskim. Oprócz tego, na polowanie ubiera się naksztalt baszkira, w lecie zaś nosi najczęściej kolorowe koszule, szerokie, podpasane, *bluzami* zwane. Mówię tu o obywatelach którzy są w stanie dogodzić sobie w tém wszystkiém, i którzy stanowią wyższą arystokratyczną klasę. Ile bowiem zauważać mogłem, prawdziwi eleganci i ludzie będący na nodze arystokratycznej, w tych trzech prowincjach, nie mogą się obéjść przynajmniej bez półtuzina ubiorów nieskończenie różniących się od siebie. Niektórzy mnożą je i bardziej; ale to już nader bogaci lub chcący tracić majątki. Ktoby o tém zaprowadzeniu, istniejącem we wspomnionych prowincjach,

nie wiedział, brataby, ręczę, rodzonego nie poznał, gdyby, nagle, widziawszy go na jarmarku w skórach i perskich materyach, s kutasami i batogiem, z zarostą brodą, zapruszonego, szernionego, z ogromnemi włosami i wąsami, ujrzał go potem na wyborach obciętego, oczyszczonego, bez wąsów, w mundurze, przy szpadzie, a zamiast siedmiokolorowej czapki ze stosowanym kapeluszem na głowie. Ale, wracając się do Berdyczowskiego jarmarku, i ja, dla zastosowania się do miejscowego zwyczaju, zabiedz musiałem do azjatyckiego kupca: nabrałem sobie na surdut materyi szlafrokowej, skóry na spodnie; kazałem całą noc krawcowi szyć ten garnitur, i, nazajutrz, wystąpiłem już podług wszelkiej przyzwoitości jarmarkowej, w surducie szlafrokowym czy w surdutowym szlafroku, w spodniach skórzanych, w czapce s potężnym kutasem srebrnym, w ostrogach i z batożkiem, godny w takim stroju dosiąść najzwawszego kałmuckiego rumaka, na najbardziej zatłuszczone siodle tatarskiem. Wtedy dopiero przywitali mię z otwartemi rękami moi znajomi, jako mającego wszystkie warunki potrzebne dla wpisania się w ich jarmarkową konfraternią. Ale byłyto same zewnątrz oznaki jarmarkowicza. Nie posiadałem jeszcze jarmarkowiczowskiej duszy; nie miałem najmniejszego wyobrażenia poświęceń się jakich potrzeba by zasłużyć sobie na honorowy tytuł: *jarmarkowicza*. Lecz postanowiłem nie szczędzić sił duszy i ciała aby godnie dopisać moim współobywatelom. Usłużność i dobre chęci towarzyszy nie małą były mi w tych zamiarach pomocą. I tak, zawiedli mnie naprzód na bilard, usługiwany s takim może przepychem do jakiego nawet nie doszły kawiarnie Palais Royal, w Paryżu; do każdej bowiem bili jest osobna Bardyczowska Dryada, pełna wdzięków i łaskawa na ludzi jak na boginię przystało; wierna Berdyczowowi do śmierci, jako swemu ojczystemu drzewu, na łonie którego rosła, dojrzała, gnila i gnije, zawsze mu wierna: bo drzewo to wiecznie obfituje w owoce które jej smakują; owocami temi są jarmarkowicze.

Stamtąd zawiedli mię na targ konny. W kwadratach lekko ogrodzonych biegają niesforne kałmuckie konie; za niemi, na koniach, biegają czarni, w otłuszczonych skórach, równie zwierzęcą jak ich konie mający postać kałmuki. Amatorowie tych zwierząt wspię-

rają się lub siadają na parkanach. I ja z nimi. Jakiś kon przelatując koło mnie, wierzga i uderza mię w piętę, tak iż tracę równowagę i jak piłka na drugą stronę zlatuję. Szczęściem, właściwy bazar składa się cały z gnój: wpadłem tedy w ten gnój błogosławiony, wprawdzie nie miły dla nosa, ciała i sukien, ale chroniący mię na ten raz od połamania kości. Wstałem, otrząsałem się, miny nie straciłem, ale nie mogłem wstrzymać się od zakommunikowania moim towarzyszom jarmarkowym uwagi, iż siedzenie na tym parkanie, między dzikiemi koniami i równie dzikimi ludźmi nie zdaje mi się nazbyt miłym; i, prosiłem, jako starszych braci, o uwolnienie mnie do końca dnia tego od dalszych do tytułu jarmarkowicza przywiązanych czynności i pozwolenie udania się na wypoczynek do domu. Jakoż zezwolili na to, zapowiedziawszy iż nazajutrz mają mi pokazać jarmark pod miłszem światłem, że przyjdą do mnie z rana, na herbatę, i że nakoniec po herbacie zaczniemy owe miłe jarmarkowe wycieczki, zupełnie mi dotąd niezbrane. Przystąpiłem na wszystko; podziękowałem za ich grzeczność i ruszyłem kulą do siebie, gdzie zaraz, rozebrawszy się i s kurzu obmywszy, kazałem podać sobie herbatę i fajkę. Wpatrując się w obłoki dymu, wijącego się strumieniami, kłębami i drzewami przedemną, nieznacznie z rzeczywistości przeniosłem się duszą w błogą krainę marzeń. Sniło mi się o pięknym mieście, którego czyste ulice szybko przebiegałem w karecie; przyzwoicie ubrany, odwiedzałem znajome mi domy, gdzie zastałem jak zawsze ochędóstwo, zdrowe i wonne powietrze i wszelkie własności mieszkania obejmującego w sobie istoty duszą obdarzone; gdzie znajdował gospodarzy noszących na sobie, tak w rozmowach jako też w ruchach i ubiorach, cechę cywilizacyi; gdzie znajdował gospodynie miłe, uprzejme, zgromadzające koło siebie wszystko czem wyższe ukształcenie ludzi obdarzyło, i które, wśród tych wszystkich wymyśłów cywilizacyi, jaśniały jak anioły wcielone na łonie niebios. Zagłębiłem się całą duszą w rozkoszy tych towarzystw. Lecz gdy właśnie do ust przyciskał atlasową rączkę miłutkiej mojej gospozi, której safirowe oczy wcieliły całą miłosną poezję Petrarcki, zostałem przykro obudzony prawdziwie jarmarkową u drzwi moich wrzawą. Zrywam się, wiewiam drzwi: wciska się do mnie, jak s

na fala, którą kuglarz z gęby wypuszcza, cała chałastra moich spółbraci! Aż mi się w oczach zaćmiło! Wypechali mi pokój jak poduszkę; garść pierza w nimby się więcej nie zmieściła. Pytam która godzina? — Trzecia, mości dobrodzieju. — Pytam się: coby chcieli tak rano robić? — A toż jest właśnie pora pić herbatę na jarmarku; niema czasu do stracenia! — Pytam się: coby mieli tak pilnego do roboty? — »Wnet, mości dobrodzieju obaczysz! tymczasem ubieraj się i każ dawać herbatę.« Niema wymówki: »raz wlaższy między wrony, trzeba krakać jak i one« mówi dawne przysłowie, nie pięknego wystowienia ale zdrowej uwagi. — Porwałem się z łóżka, wciągnąłem na siebie mój europejsko-baszkirski ubiór; kazałem im zrobić wiadro herbaty, i, pozapalawszy krótkie fajki, które Francuzi palipaszciami nazywają, a które są oznaką dokończzonego jarmarkowicza, puściliśmy się po brudnych ulicach Berdyczowa. — I, wiecie cożeśmy robili? — Napadaliśmy wszystkie stajnie i wszystkich panów rozmaitych koni, jak bauda łotrów, uzbrojeni w trzaski, inaczej fajkami zwane, w kije, batogi i harapy. Płądrowaliśmy niemiłosiernie, jak horda Tatarów, po kilkakroć wszystkie stajnie; a w ciągu tego najazdu, niektórzy z naszej jarmarkowej tłuszczy robili wycieczki na różne strony, jakby po suraż dla naszej małej armii, t. j. w celu rabowania czyli oszachrowania tych którzy do naszej truppy nie należeli, a częstokroć i własnych swoich spółbraci. — I tak, jeden z naszej truppy, P. Harapowicz, wraca po kwadransie wycieczki i mówi do swego przyjaciela, P. Batożyńskiego: »Chciałeś konia bieguna? udało mi się dopiero co dostać takiego dla ciebie! Nie uwierzysz jak tanio kosztuje: zapłaciłem zań 40 r. srebr; lecz gotów jestem odstąpić ci go za cenę za jaką go nabyłem. — A gdzież ten koń? — Chodźmy, chodźmy wszyscy obaczyć. Już jest w mojej stajni. — Chodźmy do twojej stajni! — Przychodzimy: brzydkie zwierzę, ale znawcy mówią że musi biegać niepomierne. Jakoż, P. Harapowicz zaręcza że zna oddawna szybki bieg tego konia. — Rzuca się mu P. Batożyński na szyję, zaobrucza go w nściskach miłośnych i oblewa łzami, które wycisnęła z jego duszy wdzięczność za konia i za jego sumienność, prawdziwie przyjacielską, że nie na nim nie chciał zarobić, chociaż przyjaciół swoją drogą, jarmark swoją, mówi

jarmarkowe przysłowie, i chociaż z drugiej strony kontraktowe przysłowie zaleca, ażebyśmy kochając się jak bracia, targowali się jak żydzi, i, przez wdzięczność ofiaruje mu dobrego szczwackiego konia, którego P. Harapowicz oddawna mu zazdrościł. Idziemy tedy dalej. Na twarzach naszych dwóch przyjaciół wyryta radość tak pełna, tak jasna, jak większa nie zajaśniała na twarzy Kulomba kiedy światu nowy ład wyszukał. Zwierzają sobie serca, i, zdaje się, na dłoniach wzajem się piastują. — Wiścież co jest przyczyną ich radości? — Oto, jeden cieszy się że dostał bieguna, którym spodziéwa się wygrać kilka tysięcy rubli; drugi, że dzielnie oszachrował pierwszego: odstąpił mu bowiem za 40 r. konia za którego sam dał 20, i swoją wielką ofiarę dla przyjaźni tak umiał dobrze wystawić, że nabył konia szczwackiego darmo.

Tymczasem, całą naszą tłuszcza, idziemy dalej i dalej, od stajni od stajni, od gnojów do gnojów, i znowu zaczynamy *da capo*, i ciągle jedne i te same konie opatrujemy. Towarzysze nasi wykrywają w koniach, które chcą nabyć, wady o których się tym koniom ani śniło, a więcej niby patrzą na te których kupić nie myślą; jedném słowem, puszczają maniaki jak mogą na to, żeby nabywszy te konie nagle je uwolnić s wszystkich wad a nadać im enoty pegazów. — Widzisz, mówi, nabywszy już konia, jak zadem idzie choć ustał; toczy ogón jak fortuna; z nozdrzów krew pryska; szerśe jak jedwab; porysowany żyłami jak wzorek paniński; s każdej żyły Anglii mu patrzy; łebek małeńki choć w tabakierkę wsadź! — Bawiło mię czas niejaki, jak ludzic z najprozaiczniejszą duszą, s chęci zysku, zostawali poetami; ale nakoniec zmęczenie nóg wzięło górę nad przyjemnością postrzeżeń, i wyprosiłem się znowu od mojej koteryi na odpoczynek do siebie, dawszy wszakże słowo że na 6tą w wieczór będę się stawił na kursach. — Jestto już *nec plus ultra* jarmarkowych przyjemności. Panowie mający bieguny, sadzają na nie chłopców, by się upędzali między sobą lub s Tatarami; sami zaś, z liczném kołem widzów, stoją u mety. Rozmaite konie biegały, rozmaite wyprzedzały; nie wiele mię to wszystko obchodziło; lecz nagle zainteresowałem się na widok upędzania się do mety pomiędzy dwoma znajomými mnie końmi; jednym świeżo nabytym przez P. Batożyńskiego

drugim zaś szewczackim, którego przez wdzięczność P. Batożyński P. Harapowiczowi darował, i, jakież było zadziwienie moje gdym ujrzał szewczackiego konia wyprzedzającego sławnego bieguna! P. Harapowicz, bowiem, kazał swemu chłopcu, który już był wprawny do kursów, zbijać ciągle tego ostatniego na grudę. — Kurs skończony. P. Harapowicz zabrał obydwie konie, bo o konie biegali. Ale czyż myślicie że się ei przyjaciele pogniwiali o to? Nie, bynajmniej. P. Harapowicz wytłumaczył P. Batożyńskiemu że się nie znał na swoim koniu szewczackim, który, mimo całej doskonałości kursowego, jest od niego lepszy; że on sam wprzód go dobrze nie poznał, i teraz dopiero wykrył w nim wielką cnotę biegania; i, że, nakoniec gotów go odstąpić za cenę którą wziął za bieguna. Jakoż stanęło na tem, i, za 40 r. sr. dawny właściciel wrócił do posiadania swego szewczackiego konia; dali sobie rękę na znak ukończonego kupna, i poszliśmy wszyscy w najlepszej harmonii na teatr. — Tu nowe nudy. Teatr nędzny. Widzowie ciż sami co i na ulicach; z dam ani jednej. — Zasnąłem kilka razy; nakoniec, nie doczekawszy rozwiązania sztuki, przeniosłem się na wygodniejsze łóżko do siebie, dawszy znowu słowo moim kompanom że u jednego z nich, P. Ogonowskiego, będę jutro na obiad.

Jakoż przybyłem kiedy już zapę dawano. — Po obiedzie, w środku którego rześiste kielichy mozelu i szampańskiego krążyć nie ustawały, natychmiast po zdjęciu obrusa, przyniesiono drewniane kubki, i P. Ogonowski zagrał kościaną muzyką, dobrze znajomą zwolennikom jarmarków i kontraktów. Wszystkie lica zajaśniały radością; kości bowiem mają, dla swych dobrych przyjaciół, dźwięk daleko miłszy nad wszelkie znajome instrumenta. Przysunęli się wszyscy do długiego stołu, i, na pierwszy rzut kości, tak wszyscy oczy i dusze swe w nie wlepili, jakby je chcieli namagnetyzować. Nie jeden w miarę przegrywania zrzucił s siebie surdut, dalej kamizelkę, dalej chustkę, bo mu się coraz goręcej robiło. Inni dla tęgości i jakoby dla pokazania ile są ufni w swoje szczęście, ponakrywali głowy dziwaczniemi czapkami swojemi. Długo rzucano; całemi stosami pieniądze dawano i brano; nareszcie gracze rozdzielili się na dwie partye, s których jedna ciągnęła dalej kości, druga zaś poczęła grać w diabełka. I ja się puszczałem, postanowiwszy sobie dopisywać im we wszystkim. Poznałem,

jak na moje szczęście, bardzo prędko głęboki układ tych gier; namawiali mię szczególniej żebym poniterował wielkimi stawkami, mówiąc że to jedyny sposób wygrania. Nie zupełnie ich rad słuchałem: skończyłem jednak na przegraniu kilkuset r. as. Następnie, idąc, za popędem wieku, dążącego do symplifikowania wszystkiego, zaczęli grać w rzeszotkę. Do tej już gry wcale nie należałem. Jednakże, trzeba przyznać że wiek nasz ma dar uszlachetniania najprostszycy nawet rzeczy: kiedyż bowiem rzeszotka spodziewać się mogła takiego znalezienia żeby jej płacono po kilkadziesiąt czerwonych zł. w dani? — Jakkolwiek prostemi były gry poprzednicze, przynajmniej stuk kości i migotanie się kolorowych kart wydobywało mię z uspienia; ale rzeszotka ściągnęła na mnie tak natarczywy atak morfeusza, iż wcale niemogłem mu się dłużej opierać, zwłaszcza po tylokrotnych libacyach Bachusowi. Instancyonowałem więc znowu do mego spółbraetwa żeby mi do jutra urlop dali, jako całkowicie zmęczonemu.

Oddałem się Morfeuszowi całą moją duszą; lecz kiedy mię najbardziej do swego łona przyciskał poczęł, czuję jakieś drapanie po duszy, jakieś zżymanie się i kurecz mych wnętrzności. Ten przykry stan trwał minutę może, po której przebudziwszy się, uczułem już rzeczywiste w uszach drapanie: byłato szejnekatarzynka, wygrywająca pod oknem swoje miłe melodye; porywam kija, lecę do okna by wygrzmocić niegrzecznego żydka, gdy nagle znajduję go otoczonego całą wesolą zgrają moich jarmarkowych koleżków, którzy przyszli mi pod oknem wyprawiać serenadę, ażeby mnie znowu do swego towarzystwa zawerbować. Byłem już czwartym z rzędu którego tak miłe przebudzono i mieliśmy jeszcze podobną ekskursję do trzech naszych kolegów zrobić. Nie było ratunku; trzeba wstawać i naciągać jarmarkowski mundur, bo inaczej byliby mię wodą zleli, jak wróbla pod strzechą. Wstałem tedy, ubrałem się i ruszyłem z nimi, s szejnekatarzynką i z żydem po ulicach Berdyczowskich. Wesolý ten spacer zabrał godzinę czasu; potem rozeszliśmy się. Ale już nie kładłem się spać, bo dzień zaczynał się robić, ale kazałem zaprządz konie, i conajprędzej wyjechałem, przekładając moją spokojną wioszczynę nad szachrajstwa jarmarkowe, chowane za birbanteryą i niby wylaniem się serc prostych, które tylko o hulance myślą.

(Dokończ. w prz. N.)